Rafał A. Ziemkiewicz, DoRzeczy, nr 50, 12-18.12.2022

Przez sto lat nie upad! błędny mit - że za zamordowaniem prezydenta RP stała prawica. Tymczasem zabił go obłąkany człowiek

Śmierć pierwszego prezydenta RP z rąk obłąkanego malarza mimo upływu stu lat wciąż kładzie się cieniem na polskiej polityce. Nie ze względu na tragizm tej śmierci; samo zdarzenie, acz poruszające, nie było na tle dziejów powszechnych niczym wyjątkowym, z rąk zamachowców zginęło kilku prezydentów USA, car rosyjski i cesarzowa Austro-Węgier, nie licząc dziesiątek mniej znaczących władców. Niekiedy skutki tych zamachów były bardzo doniosłe, aż do wywołania wojny światowej włącznie. Ale nigdy, nigdzie nie zdołano na trumnie zamordowanego zbudować tak skutecznej machiny politycznej nienawiści, która odwróciła nastroje społeczne i trwale odsunęła od władzy formację wcześniej dominującą, jak udało się to lewicy w Polsce.

Emocje, agregowane za pomocą arcydzieł politycznej propagandy, którymi były wiersz Tuwima czy kłamliwe od początku do końca przemówienia Józefa Piłsudskiego, całkowicie wyparły ze świadomości społecznej fakty - i tak pozostaje do dziś. Mit „nienawiści, która zabija”, a którą oczywiście zawsze reprezentują „oni”, odżywa, kiedy tylko na podorędziu znajdzie się jakaś trumna do okładania nią wrogiego polskiego plemienia. PiS próbował się odwoływać do niego po tragedii w Smoleńsku i śmierci Lecha Kaczyńskiego; Platforma, wobec posiadanej przewagi propagandowej nieco skuteczniej, wykorzystała do analogicznej politycznej kampanii mord na

Pawle Adamowiczu. Wszystko to wynika z wbitego głęboko w polskie mózgi mitu, jakoby pierwszy prezydent RP, Gabriel Narutowicz, zamordowany został w ramach doprowadzonej do szaleństwa politycznej walki, przez zamachowca nasłanego nań przez polityków prawicy czy wręcz - jak wbrew oczywistym faktom śledztwa i procesu kłamał Piłsudski, z właściwym sobie brakiem skrupułów w brutalnym niszczeniu przeciwników - przez wysłannika spisku w tym celu zawiązanego i koordynowanego przez liderów endecji.

MORDERSTWO I KŁAMSTWO

Jak było w istocie? Eligiusz Niewiadomski, zdaniem najwybitniejszego psychiatry owych czasów Maurycego Ursteina (jego poświęcona sprawie broszura z roku 1923, zamilczana w historiografii, jest jednym z odosobnionych głosów rozsądku], był niewątpliwie człowiekiem chorym psychicznie. Fakt, że sąd nie zarządził badań psychiatrycznych, których wynik był zdaniem profesora z góry oczywisty, nazwał Urstein wręcz „mordem sądowym". Sąd działał jednak pod presją polityki. Ani lewicy, prącej do wykorzystania śmierci Narutowicza, ani prawicy, próbującej wskazywać okoliczności łagodzące winę mordercy, nie zależało na tym, by Niewiadomski został, jak nakazywałoby cywilizowane prawo, umieszczony w domu dla obłąkanych. Unieważniłoby to jego czyn i uniemożliwiło skonsumowanie tragedii w gorącej walce o władzę i o „rząd dusz" nad społeczeństwem.

Co do tego, że śmierć Narutowicza uznano za szansę na zmianę układu sił, nie ma wątpliwości: zachowały się relacje uczestników ówczesnych narad, na których Ignacy Daszyński klarował gorącogłowym zwolennikom zemsty i zamordowania w ramach niej politycznych przywódców prawicy, że zemsta wyrównałaby tylko rachunek, podczas gdy obciążenie „piętnem odrażającej zbrodni” endecji zohydzi ją w oczach społeczeństwa i skompromituje na długie lata. Tak się w istocie stało. W pięciu turach głosowania, które wyłoniło prezydenta, hrabiemu Zamojskiemu, kandydatowi prawicy, brakowało do zwycięstwa tylko czterech głosów. Partia Daszyńskiego zaś na 444 mandaty ówczesnego Sejmu zdobyła tylko nieco ponad 40. Jednak następne wybory były już dla narodowców klęską. Przypisany narodowcom mord był też propagandowym uzasadnieniem późniejszego o cztery lata zamachu Piłsudskiego i do dziś używany jest przez jego biografów do usprawiedliwiania procesu brzeskiego, Berezy i innych nikczemności Marszałka.

W istocie, wbrew kłamstwom ówczesnych polityków i dzisiejszych historyków, Niewiadomskiego z endecją nie łączyło praktycznie nic. Przed laty otarł się o jej struktury, ale - jak wielu patriotów - zerwał współpracę ze „zdrajcami narodowej sprawy" po ogłoszeniu przez Dmowskiego sławnej politycznej analizy, w której ojciec polskiego nacjonalizmu tłumaczył, że aby znaleźć się w przyszłej wojnie w zwycięskim obozie z Anglią i Francją, musimy zawrzeć taktyczny sojusz z

ich aliantem, Rosją, licząc na zjednoczenie trzech zaborów w ramach Rosji. W następnych latach namiętny, mistyczny patriotyzm zbliżył Niewiadomskiego do piłsudczyków, gdzie był nawet protegowany do służby w sztabie jednego z legionowych pułków przez samego Kazimierza Sosnkowskiego, najbliższego współpracownika Komendanta.

Patriotyzm oderwany od realiów politycznych, rozumiany jako swego rodzaju religia zbudowana na ubóstwieniu narodu, sprawił, że odzyskanie niepodległości w roku 1918 głęboko Niewiadomskiego [jak wielu podobnych mu romantyków] rozczarowało. Zamiast wyśnionego raju odzyskanego zobaczył „odrażające kupiectwo", przyziemność, swaty i polityczne wojny. W szalonym umyśle zrodziła się myśl, że odzyskanie granic nie wystarczy, jeśli nie dojdzie do „odrodzenia narodowego", to zaś wymaga ofiaiy. Najwyższej ofiary - z siebie samego. Niewiadomski postanowił ją złożyć podwójnie, jako ofiarę nie tylko życia, lecz także swego honoru oraz dobrego imienia. Aby ściągnąć na siebie nienawiść, potępienie i skazanie na szubienicę, postanowił publicznie, ostentacyjnie zamordować Naczelnika odrodzonego państwa, a następnie zażądać dla siebie kary śmierci. Plan nie powiódł się tylko w jednym punkcie: misja Piłsudskiego skończyła się, zanim Niewiadomski zdołał znaleźć okazję do zamachu, dlatego celem ataku stał się nowo wybrany prezydent. Przy czym dla Niewiadomskiego nie było istotne, kto nim został - gdyby endecja wykazała w historycznych głosowaniach więcej elastyczności, Niewiadomski strzelałby do Zamojskiego albo kogokolwiek innego.

SĄDOWA MOWA SZALEŃCA

„IKC" z informacją o procesie i wyroku w sprawie Eligiusza Niewiadomskiego
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wszystko to wykładał szaleniec najzupełniej otwarcie, w swym trwającym prawie cały dzień wystąpieniu podczas procesu - zapis tej przemowy, która sama w sobie wystarcza do uznania go za wariata bez dalszych badań, zachował się, można go przeczytać, ale nikt się tym nie trudził. Zamiast tego wpisano Niewiadomskiego w polityczny spór, którego obie strony były mu równie wstrętne, i - ponieważ odmówił przyjęcia obrońcy z urzędu i sam żądał dla siebie kary śmierci - skazano go i poddano egzekucji w ekspresowym tempie. Na śmierć przyszedł w bieli, z czerwoną różą w ręku, dopełniając zaplanowanego teatrum „ofiary za naród", które na wielu zresztą zadziałało - mimo oficjalnego potępienia miał przez wiele lat swych wyznawców, celebrujących rocznicę jego „czynu" i „ofiary".

Karol Zawodziński, zasłużony piłsudczyk i pisarz uhonorowany Wawrzynem przedwojennej Polskiej Akademii Literatury, pisał w roku 1947 dla londyńskich „Wiadomości” redagowanych przez Mieczysława Grydzewskiego: „Wielki kryzys sprzed 25 lat był wyzyskiwany przez żydożerców, ale przeżyty znacznie szerzej przez ludzi, którzy czynem i całym życiem twierdzili, że z nimi ani ich stronnictwem nie mieli nic wspólnego. W swojej istocie był to: 1] wstrząs narodu przebudzonego do rzeczywistości, który skonstatował, że realna Polska nie ma nic wspólnego z marzeniami pokoleń od 150 lat; 2] odruch dumy narodowej, zelżonej tym, że wybór na reprezentacyjne stanowisko odbył się wbrew większości polskich głosów, więc o najważniejszych sprawach decyduje nie ten naród, który wziął na siebie odpowiedzialność za losy tego zakątka ziemi; 3] jedyny właściwie ruch konserwatywny, antyrewolucyjny, przeciw rewolucji 1918-1922, choć nienoszącej tej nazwy, znacznie większej i głębszej niż obecna. Wszystko to zostało wyrażone z wielkim patosem, pomnożonym przez sytuację podsądnego, oczekującego i domagającego się śmierci w swojej mowie. Ale u wielu, bardzo wielu czytających te słowa jako wspaniałą lirykę obywatelską, patriotyczną antysemityzm nie odgrywał żadnej roli”. Sam redaktor naczelny wtórował mu w tym samym numerze, stwierdzając, że „sprawa Narutowicza nie była tak prosta", i jako przykład rozterek budzonych przez nią przywoływał „demonstracyjne milczenie" o niej Stefana Żeromskiego.

Z cytowanej tu trzeźwej oceny człowieka jak najdalszego od stronnictw obwinianych o „zamordowanie Narutowicza" wart szczególnego podkreślenia jest element antysemityzmu. Jeśli nawet Zawodziński przesadził, twierdząc, że nie odegrał on żadnej roli, to na pewno ma rację, że nie odegrał roli decydującej. Niewiadomski nienawidził Żydów, ale - jak wielu ludzi swych czasów - nienawidził ich tak samo, jak Rosjan i Niemców - nie z przyczyn rasowych, ale jako „wewnętrznego zaborcę”, naród wysługujący się okupantom, wrogi polskim wolnościowym aspiracjom. Podkreślanie związków ofiary z żydostwem było więc w jego ustach ciężkim zarzutem i obelgą. Jednak wycinane dziś chętnie z obłąkańczej przemowy mordercy frazy w rodzaju „prezydent wybrany żydowskimi głosami, za żydowskie pieniądze" nie były bynajmniej własnością żadnej ze stron politycznego sporu i żadna grupa społeczna ani stronnictwo nie były w całym międzywojniu od takiego myślenia wolne.

Wydawałoby się, że sto lat to wystarczająco długo, aby emocje owych czasów odsunąć na bok i przyjrzeć się historii takiej, jaką była, „sine ira et studio". Ale polityczna siła okrzyku „mordercy" i przyklejania przeciwnikom „kainowego piętna" okazała się zbyt silna, by zbrodnia sprzed stulecia doczekała się obiektywnego opisu; tak że nie znając jeszcze rocznicowych komentarzy, które się w tym tygodniu w różnych miejscach ukażą, można być z góry pewnym, jak będą brzmieć i jakie polityczne wskazania będą zawierać.

Opracował: Jarosław Praclewski - Solidarność RI, numer legitymacji 8617, działacz

Antykomunistyczny